





2 18

24 11

»S I T W E S Y«

ERWIN OSADA-HILLENBRAND

»SITWESY«

*Pierwszy tom wychodzi w dwudziestolecie
Drugi tom wyjdzie ... w pięćdziesięciolecie*

Janusz Korwin

WARSZAWA 1934
GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

A-24037

OKŁADKA: ATELIER GRAFICZNE GIRS-BARCZ
PRAWA PRZEKŁADU I PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE.

UMCS
LUBLIN

UMCS
LUBLIN



1000174464

Lista 13a4

K.1226/58/10

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE, PIŁSUDSKIEGO 19

S Ł O W O W S T Ę P N E

*Pozwoliłem sobie skośnem piórem napisać o częst-
kach naszych przeżyć na „ty wojnie“ i to po okre-
sie dwudziestoletnim, kiedy skronie nasze już do-
brze przyprószyła siwizna. Zaraz pomyślicie sobie
Obywatele — „rychło wczas“, ja zaś powiem: „le-
piej później niż wcale“.*

*Wyciągnąłem pamiętnik, taki ze śladami de-
szczu, z pod Kielc i odciskami borusowych śliwek
i, korzystając również z pomocy sitwy,¹ zacząłem
pisać, a wtedy brygada żywcem stanęła mi przed
oczami.*

*Nie powiem żeby była ona wówczas tak liczna,
jak jest dziś, po dwudziestu latach, ale nie o tem
chcę na wstępie powiedzieć.*

Na temat bohaterskich wysiłków i naszej histo-

¹ „Sitwa“ — spółka.

rji legjonowej wyszło wiele poważnych prac kronikarskich, rozpraw i opisów z poszczególnych okresów. Pozostawiając dociekanie historyczne komu innemu, staram się w niniejszej broszurze przedstawić jedynie obrazki z szarego, codziennego życia legjonowego, opowiedziane gwara, która była, minęła i dziś już nie jest w użyciu, — chyba, że się sitwesy znowu znajdą w kupie, — tą swoistą gwara legjonową, czasami tak soczystą, że „aż oko bieje“. Dlatego też radzę Szanownej P. T. Publiczności ostrożnie... „świeżo malowane“ — natomiast: „Swoj do swego po swoje“.

Cześć!

Autor.

N A R O D Z I N Y S I T W Y

*Oleandry — koszary strzelców.
Kraków, 3 sierpnia 1914 roku.*

Drewniane, parterowe budynki powystawowe, wyglądają jakgdyby miały ochotę lada chwila rozlecieć się wskutek tych ciągłych zbiorów i zwrotów. „Umeblowanie“ pierwszorzędne: nawet słomy nie ma; na noc strzelcy rozścielają na podłodze swoje czarne, gimnazjalne peleryny — koce i co który ma, pięść pod głowę i — śpij.

Z każdą chwilą zwiększa się strzelecka familja. Przybywają transporty z Zaleszczyk, Tarnopola, Husiatyna, Kopyczyniec, Stanisławowa — słowem z najodleglejszych zakątków kraju. Z Królestwa zjawiają się w pojedynkę zakonspirowani strzelcy i drużyniaczy.

Coraz to nowe wieści napływają do Olean-drów. Wszyscy podminowani. Każdy chce na Moskale — jedni na poważnie, inni znów chcą na wesoło i podśpiewują sobie.

W nocy w salach i salkach niema zupełnie miejsca, jedni śpią na nogach drugich (doskonały środek na pozbycie się odcisków). Co chwila zbiórki i spisywanie brakujących części, ale nic nie dają.

Pierwszy obiad. Rosół z ryżem i mięso w kostki. Przy kuchni cały sztab pań. Oka takie wielkie na rosole pływają, że zaraz puszczają pogłoskę, iż naftę dla omasty wlano.

Niektórzy obiadu nie ruszają, bo w kieszeni jeszcze tkwi mamusin trzos, ci lecą do Bisanza, Pollera, czy Hawelki.

Kraków istnym obozem strzelców. Wszystkie notesy, notatniki, bruljony wykupione. Każdy spisuje pamiętnik.

4 *sierpnia*. Zbratanie się Strzelca z Drużyniakami. Zamiana orzełków strzeleckich na blachy

drużyniackie. Macamy się i obwąchujemy, poczem braterstwo pieczętujemy pocałunkiem i uściskiem dłoni.

Za jednym „fifakiem“ ojciec starowina aż z Kopyczyniec przyjechał i szuka swego marnotrawnego, najdroższego jedynaka; płacze, dopytuje się, chodzi od kompanji do kompanji, a synalek z jednego skrzydła Oleandrów ucieka na drugie. Liczy sobie, aż szesnaście lat i mówi, że go stary chce zabrać do domu, a on wcale nie ma zamiaru iść.

Drugiego znów „dorosłego syna“ nakryła cała famuła. Batory, komisarz magistracki, poszedł do kompanijnego; przedstawia metrykę urodzenia syna: ma on niespełna piętnaście lat. Otrzymuje zwolnienie. Biorą faceta za uszy, wciągają do fiakra i hajda na dworzec. Zdawało się, że taki jego koniec.

Na drugi dzień wieczorem znowu się zjawia i melduje swoje przybycie; mówi, „że nie jest frajerem“... i zostaje.

Tam znowu w jednej salce starszemu strzelcowi narzeczona bez przerwy mdleje, cały dzień się że-gna i opuścić go nie może. Ha trudno; miłość nie pyta — wojna czy pokój.

Z miasta przynieśli odezwy: Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, wzywające rodaków, aby się skupili koło organizacji militarnych, jako zawiązku Armji Polskiej oraz Związku Chłopskiego, skierowane do rezerwistów Polaków z Królestwa, aby uciekali z punktów zbornych i stawali w szeregach polskich przeciw wojskom cara.

Podnieca to nasze umysły. Do Królestwa! — wzdycha bractwo.

Nowość — patrzymy na żonę i męża w strzeleckich mundurach i jeszcze wiele kobiet, i jeszcze małżeństwa. Optymista Czeczot mówi: „Nie mamy prawa wojny przegrać“.

Wszyscy tytułują się „panie kolego“, „panie obywatelu“. Jeden drugiemu basuje: „panie profe-

sorze — pozwólcie ognia“ — „uprzejmię proszę“, „idę na stronę“, „przepraszam“, „dziękuję“. „Czy pozwolicie panie kolego papierosa“ — „dziękuję, może mojego?“. Grzeczność wersalska i świetna harmonja.

Tylko podoficer za frontem Wańczyk, stary drużyniak, pyskuje podczas zbiórki, wyzywa od mazgajów, a podczas komendy „bacność“, kiedy wszyscy wypięci jak struny, leci wzdłuż frontu i lekkim uderzeniem pięści w brzuch reguluje krzyż i postawę.

Niektórzy patrzą na „zafrontowego“ zukosa, są zgorzeleni, ale Wańczyk dobry instruktor, ćwiczy, przyzwyczajają do wojska i ostro trzyma za twarz.

Strzelcy z różnych stron — różne noszą miana: jest Xenokles rodem z Majnalos w Arkadji, Leonidas z Hellady, Zeus, co przyszedł pomagać w zwycięstwie, Winkelried z Unterwalden oraz bohaterski Scaewola. Większość z bliższych stron

to i nazwy swojskie: Jan III, co piechotą przywędrował z Wadowic (radzili mu w domu zaczekać, aż będzie wojna z Turkami), przybyły też rosłe Brzozy, Olszyny i Dęby, okazałe Wyżły, mężne Dojany, białe Kruki, Orły drapieżne i Orliki, Wieniawy, Popijawy, Huki, Stuki, Grzmoty, deszczu Strugi, rozległe Osady, strzeliste Wieże, kolczaste Jeże, żarłoczne Wilki, gryzące Borsuki, potężne Żubry, Kwiatki nakrapiane, Kordjany, Przeory łakome, a sprośne, skoczne Mazury, wąsate Wielkopolaniny, podziemne Groty, później Prototy, Młoty, Rokity, są również suche Wydry, piękne Heleny i lilipucie Ludki.

Kmiciców jest pięciuset, Skrzetuskich i Wołodujowskich stukilkudziesięciu, Zawiszów Czarnych i Bartków Zwycięzców dwustu.

Przy raporcie przedstawiają bataljonowi spis podwładnych w kompanjach obywatelowi Komendantowi; wziął je ob. Komendant Mieczysław do ręki, czyta jedną listę, drugą, dziesiątą i roześmiał

się; kogoż tu bowiem niema! Sławni rycerze i bogowie.

Nagle dumne jego brwi nasrożyły się. Woła ob. szefa Sosnkowskiego.

— Mam przeszło tysiąc Kmiciców, Skrzetuskich, Wołodyjowskich, Zawiszów i Bartków Zwycięzców, nie licząc innej walecznej starszyny, ale co ja zrobię z tysiącem Zagłobów, skoro Jeremi nie mógł sobie dać rady z jednym!

Ob. Komendant jeszcze o rumie dla nich nie myśli, głównie martwi się o tabory. Oblicza, coś dodaje, to kreśli na papierze; ileż to trzeba wózków, by tych rycerzy „co tłoku i fatygi nie lubią“ wygodnie rozlokować!

— Nie dam rady! — mruczy sobie Komendant — muszą zostać!

Szef sztabu również markotny, ale wskazując na bataljonowych, którzy stoją wyprężeni z boku w oczekiwaniu na rozkazy, radzi:

— Niech dostawią do raportu z każdej kompanji po 2 Zagłobów.

— Nieraz to wcale dobrze mówicie Szefie. Zróbcie raport z Zagłobów — zadecydował ob. Komendant.

Za pół godziny stało pod Głównym Sztabem kilkudziesięciu Zagłobów.

Komendant wyszedł ze szpicrutą w ręku, padła komenda:

— Bacność!! W prawo patrz! — i meldunek z Zagłobów złożony.

Przeszedł Komendant przed frontem. Patrzymy się, z pod krzaczastych brwi radują się niebieskie oczy, jaśniejnie dostojne oblicze.

— Nie tacy oni straszni, jak się malują. Ledwie zachodzą w lata męskie, dwudziestoletnie, rosłe i butne Zagłobiki — rozczula się Komendant.

W tym to momencie dokonał się najplodniejszy w skutki akt polskiego ryzykanctwa. Obywatel Komendant powziął decyzję wymarszu 6 sierpnia.

— Tylko jedno — zwrócił się Komendant do bataljonowych — kadrową uzbroję, ale pod warunkiem, że musi w niej być po trzynastu z każdej familji, żeby, broń Boże, żadna nie była pokrzywdzona. Zresztą za wielu Bartków Zwycięzców, też niedobrze. Wojna skończyłaby się za miesiąc, to i rekrutów nie mógłbym przysposobić do walnej rozprawy z trzema cyganami.

W Oleandrach zawrzało jak w ulu. Wyszedł rozkaz, że kto posiada całego Manlichera,¹ zgłosi się do kadrówki.

Wszyscy chcą na Moskala, ale karabinów niema. Pal je sześć, z kosami na sztorc, też wiara pójdzie.

Ob. Zeus poszedł do koszar 13 regimentu witać kuzyna, co wcale jeszcze się nie narodził. Jednem wejściem wszedł, drugim wyszedł — z Manlicherem 95.²

Ob. Orwicz-Pągowski kupił za 30 koron Man-

¹ System karabina.

² Najnowszy model austriackiego karabina.

lichera na stacji od żołnierza z transportu austriackiego, który jechał na front.

Reszta płacze. W nocy śnią im się całe magazyny nowiusieńkich Manlicherów (same 95). Każdy wybrał najjaśniejszy z żółtym pasem i ustawił na podłodze koło łóża.

Rano budzą się — karabinów niema. Ach, to tylko sen... Kadrówka natomiast naprawdę wyruszyła 6 sierpnia o trzeciej w nocy. Pozostałym strzelcom broń będzie wydana w Zatorze.

Słusznie twierdzi ob. Długi, że Komendantowi nie wierzą Austriacy i wydają broń poza „festungiem”,¹ bo nuż jednego ranka powzięłby inną decyzję i zaczął wojnę tak od Krakowa?...

— Sicher jest sicher — powiedział Manlicher² — i Austriacy wydali Werndle,³ — Ha, lepszy Wern-

¹ Twierdza — w tym wypadku Kraków.

² Przysłowie niemieckie równe naszemu „Strzeżonego Pan Bóg strzeże”.

³ Stary system jednostrzałowego karabina.

del w garści, niż Manlicher w... głowie!—westchnął któryś z Zagłobów.

W Królestwie patrzą na Strzelców z za komina, słowem czujemy, że starsze społeczeństwo mówi sobie w duchu:

— Jasiu, lagą tego draba, on nam Polskę kradnie.

L W O W S K A K O M P A N J A

Lwowska kompanja „ostatnia z Siekierzyńskich“ przybywa w początkach października 1914 roku, kiedy brygada znajduje się w marszu na Dęblin.

Obywatel Zulauf prowadzi kompanję. Naturalnie na przedzie Józko Maselko z katarynką, przebiera po klawiszach aż ziemia drży. Zdala dochodzą słowa piosenki lwowskiej:

*„Na Kleparowi wielki ruch,
Od śmiechu aż mi boli brzuch,
Cudowny widowisku
Pryszcz Mańki weselisku“...*

Patrzymy na nich. Daszki u maciejówek noszą czarne, płaskie, t. zw. lwowski fason.

Ob. Bil z II baonu, krajan, szpanuje ¹ kto gania i rozpoznaje: jest Jóźku Kopacz z Kalecza, Romciu Holinka z Łazarza, dwa beki ² z Czarnych ³ — Heniu Bilor i Tadzium Kowalski, Garbień z Pogoni, ⁴ jest Nowi zwany: „Matko puść — ojczyzna mnie woła“ (co sobie z końcem wojny odwrócił pseudo na: „Ojczyzno puść, bo mnie matka woła“), dwaj bracia syjamscy-jamniki Różańscy, sekcyjny Antoś Ostruszka z harą, ⁵ Kochański, kucyk kudłaty Degenstick, pan Czaszka-Apel, Przybylski i wielu, wielu innych lwowiaków, co przyszli karać Moskali.

Zaraz ich brygada przyjęła:

— Serwus kanonenfutter ⁶ — oddaj Lwów!

¹ Szpanuje — patrzy.

² Bek — obrońca piłkarski.

³ Czarni — klub sportowy we Lwowie.

⁴ Pogoń — klub sportowy we Lwowie.

⁵ Hara — wódka.

⁶ Kanonenfutter — złośliwa nazwa „mięso armatnie“.

— A kto wam tak daszki wymalował na czarno?

— A czyżyki u was w jakiej cenie?

— Ty... jak ci dam czyżyka w nos, to ci Babaczek¹ zara nosem wyskoczy... frrrajerska kalafo-
njo, jak szturchnę w lico, to rodzona babka nie po-
zna, żeś wnukiem, a cioteczna siostra do szpitala
odprowadzi.

— Patrz na tego połamańca. Bohatera struga,
karabina trzymać nie potrafi, a głos podnosi, —
wypowiedział jednym tchem Tońko (naturalnie
z Kleparowa), przyszły autor słownika żołnierskie-
go, co „jak se powi, to od takich słów zęby drę-
twieją“.

A harmonja gra, gra z zawijasami, rzekłbyś ob.
Maselko, rozplywa się na jej klawjaturze.

¹ Babaczek — lwowska wędliniarnia końska.

M A M I N S Y N E K

Też przyjemność, mieć takiego maminsynka w sekcji — nie daj Boże! Lekko wskoczył do Strzelców, ciężko maszeruje w Legjonach. To mu gulasz nie smakuje, groch twardy, za późno obiad wydają, Moskale niepotrzebnie się pchają, artylerja w bitwie za mało go wspiera; jak postawisz go w nocy na wedecie lub na warcie, to ci bękart wskazówki w zegarku poprzekręca po pół godzinie i furt chodzi budzić zmianę.

Plecak ma pierzyną wypchany, którą dostał od babci przy wymarszu z domu; gębą miele, jak rodzona sąsiadka z Krowodrzy. Zaciąga mową, jakby z pitaszkami w klatce siadywał.

W pogodny wieczór gwiazdki ogląda, gdyż do szarży warga mu wisi, jak starej kobyły do wiadra wody.

Pod Laskami jak huknął granat tuż koło okopu, takiego rejwachu narobił, że Moskale się śmieli, a ob. Wisłocka cucić go musiała.

Pierwszy rum, który wydali nam w marszu pod Iłżą, wymieniał u chłopów na masło. Tego mu już „sitwa“ darować nie mogła. Taki ci to pasażer do brygady wskoczył imć maminsynek Szerszeń rodem z Krakowa.

Do sitwy nigdzie nie należał, sam więc węszył za prowjantem.

Po odwrocie z pod Lasek w Brzechowie wysłana została, wieczorem 2 listopada, druga kompanja V baonu na przedpola okopów, zająć część wsi. Ubezpieczywszy się placówkami, pozostała część kompanji rozeszła się po kwaterach, by kimać jak za dobrych czasów.

Zmiana przyszła po północy obudzić Szerszenia na wedetę. Zaczął się ubierać, gramolić i aku-

ratnie dzień świtać poczynął, jak wychodził z chałupy.

Objął służbę. Stoi, stoi, kiszki marsza pogrzebowego mu grają. Od sitwy nic nie dostanie (w odwrocie tylko sitwa karmi). Nagle zapiał kogucik w szopie, przy której stoi. Ha, są koguty, to muszą być kury — rozumuje ob. Szerszeń — a jak są kury, muszą być i jajka. Chłopy jeszcze nie zdążyły podebrać, jest kontakt bezpośredni z producentem oraz pewność, że jaja są świeże (ob. Szerszeń jada tylko świeże). Kombinuje dalej. Trzeba poszukać! Zapędził się za kurnikami, patrzy — na drugim końcu wsi chmara Moskali. Zdębiał. Wpada na placówkę błądy i alarmuje: „Moskale“!

Sekcyjny ob. Sroka Marjańcio Szerszeniowi nie wierzy od Borusowej jeszcze (kiedy to stał na wedecie w łozach nad Wisłą i takiego alarmu w nocy narobił, że Moskale na łodziach płyną, iż ob. Lis, w zastępstwie ob. Bończy, kompanję na

wale ochronnym rozwinął, a tymczasem — to tylko Szerszenia fantazja poniosła).

Ob. Sroka służbista sam musi stwierdzić. Idzie, patrzy — istotnie Moskale. Alarmuje kompanijnego ob. Szyszłowskiego, ściąga na rozkaz placówkę. Kompanja udaje się do okopów, a okopy puste.

W drodze przygadał ob. Łania Alojzyk:

— A mówiłem wczoraj na kwaterze w nocy: jak sobie pościelesz, to będzie alarm.

Robimy biegiem marsz. Kozunie, jak szaraki, z pod nóg uciekają. Oczy nawierzch wylażą, jęzory w żołądki wchodzą. Wtem wpadają dwaj konni meldunkowi z krzykiem: „Uciekajcie, piechota rosyjska z prawej strony oskrzydła“!

Przeźren topniała przed nami. Dysząc, potem ociekli, wreszcie dołączamy się do brygady. Za niewolników nas już mieli! Jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie Szerszeniowe jaja??...

W nagrodę wiara siłą ob. Szerszenia do sitwy

wciągnęła. Dostać miał nawet „tapferkajt“¹ na wstędze jajecznicy przypalonej wobec wroga.

Od tej pory ob. Szerszeń, znajdując się w gronie sitwy, zaczął się perfumować rumem i ściśle przestrzegać nakazu ob. Zielana, który prawil:

*„Rum zasię w naszej szanowan brygadzie,
Żaden mu z dłubinosków nie stanie na zdradzie“...*

I tak od słowa do rumu po odbyciu praktyki, mianowany starszym sitwesem w gromadzie, rósł sobie ob. Szerszeń na chwałę brygadzie.

¹ Austriacki medal za waleczność.

J U B I L E R Z Y

Ob. Gmiłka siedzi sobie na drągu z papierkiem w ręku, w bocznym rowie w okopach nad Nidą i duma... O czym dumał nikt się nie dowie. Aż tu nagle leci taki jeden, jedyny szrapnel. Gmiłka ma dobry słuch i zna kierunek lotu, wie, że psiawiary Moskale lubią dla kawału przerywać marzenia legunom i wybierają odpowiednie momenty dla wstrzeliwania się.

Skoczył więc Gmiłka z drąga i skrył się pod blindarz, a tu wybuch i celny, celniutki strzał dosięgnął latrynę. Aż się zakurzyło.

Przeklął Gmiłka draniów, że strzelają do bezbronnego, wdrapał się nawierzch okopu, wypina w stronę Moskali niezapiętą jeszcze część ciała, potem grozi ręką i schodzi do rowu. Patrzy, opodal leży zegar z wystrzelonego przed chwilą szrapnela.

Podnosi, lecz natychmiast puszcza, bo go parzy. Poczekał chwilę, splunął, raz jeszcze przeklął Moskali i zabrał zegar do ziemianki. Tu wyciągnął scyzor, słynny w plutonie z tego, że jedno z ostrzy tak wyszlifował, iż mógł się niem golić; ano zaczął oglądać, dłubać, majstrować, pukać, stukać, aż wreszcie udało mu się rozkręcić na kółka, obręcze i piramidkę.

Przez następne kilka dni chodził po otwartych pozycjach, zbierał zegary i garnki szrapnelowe, z którymi się borykał i tłukł po całych dniach, jak Marek po piekle.

Po kilkotygodniowym pobycie drugi bataljon został zluzowany z okopów i odszedł do wsi.

Tu Gmiłka założył fabrykę pierścionków, bransolet i innych wisiorów. Zaczął topić aluminium, z kartofli i buraków robił formy, przecinał, szlifował i produkował piękne pierścionki, bransolety, orzelki. Zamówień miał coniemiarą. Gmiłka nie może nadążyć robocie. Klienci nie chcą czekać,

pomimo zgóry zadatkowanych „rindfleischów“,¹ manierek rumu i zaczynają sami brać się do produkcji.

W brygadzie powstaje istny ruch fabryczny. Co drugi nosi w plecaku cały warsztat, wagi kilkunastu kilogramów.

Zapotrzebowanie wielkie, surowca coraz mniej. Trzeba widzieć, jak fabrykanci zdobywają surowiec! Każdy węszy za „sznaprelem“. Niech tylko ukażą się na widnokręgu obłoki dymków, już całe zgraje lecą po towar.

Raz fabrykant z piątego baonu ob. Jabłonka przybłąkał się za surowcem na teren wybuchu drugiego baonu — ujrzał go Gmilka i zaraz do niego:

— E... e... a wy z widki Obywatelu? Wiecie o rozkazie brygady, że absolutnie czapkami „sznapreli“, jak motyli nie można nakrywać? To wy taki obywatel? Widać rozkazów wam nie czytają! Ży-

¹ Rindfleisch — rodzaj konserwy z mięsem wołowym.

cie narażacie, a towar przychodzicie szmuglować z innego rejonu?

— A wy Obywatelu, pies wam mordę lizał, to niby legun, czy pałkarz? ¹—odpowiedział Jabłonka.

— Ja wam mówię, że pójdziecie do raportu do ob. Berbeckiego, on wam dołoży towaru! Ale za-wczasu ręcznik mokry na pysk sobie przygotujcie.

Obywatel Jabłonka chciał odejść, ale Gmiłka akurat był w rynsztunku i sprawę stawia ostró: przemytnika nie chce puścić.

— Obywatelu, nie róbcie sztramaka ² — po-wiada Jabłonka. — Znam was, że sami macie war-sztat i mnie dłużni jesteście pierścień jeszcze z Ni-dy. Zadatkowałem konserwą i połówką rumu, a te-raz, to ciągniecie do raportu?

— Sitwa na sitwę — rzecze ob. Gmiłka. — Surowiec oddajcie wedle przynależności terytorjal-

¹ Pałkarz — nazwa strażnika akcyzowego w Galicji.

² Służbista, brata rodzzonego w służbie nie poznaje.

nej i wybuchowej, a co do długu, — wyciąga na sznurku wianek pierścieni — wybierajcie.

Jabłonka wsadza jeden po drugim na palec, wreszcie dopasował i powiada:

— Dajcie Obywatelu jeszcze ten malutki w pro-
cencie dla sitwesa z sekcji.

Gmiłka jedno oko przymrużył, a drugie pal-
cem po persku otwiera: — Hm, hm dla sitwesa...
ale w spódnicy — przecież to damski. — Znają
się dranie, jak łyse kobyły, ale dać — to dał.

S Ł A W N E T W A R Z E

21 czerwca 1915 r. Okopy pod Konarami.

Lwowiacy robią jakiś ruch. Jest to jedyny naród w brygadzie, należący do wszelakich sitw. Żaden nie chodzi luzem, a właściwie stanowią w nagłych wypadkach jedną, wspólną sitwę lwowską.

Oto Józku wyskoczył z dziury okopu, gwizdnął raz krótko, potem długo, raz, drugi — i znowu powtórzył.

Zaraz w okopach zakotłowało się, jakby ktoś wsadził w mrowisko.

Trzeba wiedzieć, jak się kumają lwowiacy. Zwołują się w ważnych wypadkach, a nadużycie hasła karane jest kopniakiem.

Usłyszał hasło Lońciu, obudził Monia i szepnął mu coś na ucho. Moniu pobiegł do Franka i Witka, Witek do Miśka i Lolka.

Lolek pognął do 3 kompanji, coś se „potajojował“ z Dolkiem, Dolek posłał swoją sitwę do Staszka, Staszek pobiegł do czwartej, ściągnął Józka i Rudka, Rudek Władka, a Władek Tońka. Ze wszystkich stron śpieszyli korytarzami obywatele lwowiacy na zbiórkę, innym sitwesom wcale nieznaną.

W kilkanaście minut zebrali się przedstawiciele Łyczakowa, Zielonej, Cytadeli, Gródka, Janowskiej, Kleparowa i Zamarstynowa.

Setki lwowskiej braci, nie mogąc się zwolnić ze służby w okopach, „tajojowało“ sobie dopóżna w nocy.

— — — — —

— Ta ty wiesz co?... Lwów wzięty!

— Ta skąd wiesz Marjańciu?

— Skąd wim? Sitwa moja, nu ten Józku spuchlak z Łazarza, ma dzisiaj służbę inspekcyjnego bataljonu w brygadzie i dowiedział się z depeszy, która właśnie przyganiała, co nasz Lemberg wzięty!

— Na syr ja ci pali piasku, to fajno! Trza za-

raz szrajbować list do staruszki; sama kubicina została i cholera wi z czego żyła za kacapów...

— Jak Boga szczyrzy Kocham, pójdę odrazu na durch, do obywatela Komendanta. Kadenowi kazał mnie zapisać jeszcze pod Przepiórowem, jak meldunek od Berbeckiego doręczyłem do wążowu pod Kozinkiem, a 11 karabinów maszynowych rosyjskich grzało jak cholera nad głową i ledwiem uszedł śmierci! Urlop gebiruje¹ mi się na całego.

— Gebiruje się całej brygadzie — no i co — puszczą każdego na lauf!? — Poco bajcować...

Pi... i... ii... i gwizdnęła zabłąkana kula.

— O włos, a byłbyś Marjańciu bez marszrutu przejechał się na łono Abrahama i Lwów z gwiazd oglądał — zawyrokował Tońku.

Już ciemniało. Cała hebra, by się podzielić radością z drogim Wodzem — zwała się uszeregowana w czwórki pod sztab brygady z pieśnią na ustach:

¹ Gebiruje się — należy się.

*Czemu płaczesz ukochana,
Wojna to jest rzecz cacana,
Mundur szary, guzik błyszczący,
Pól cetnara mam w tornistrzy!*

*Patrz na tego Manlichera,
Kuźdy żołnierz ni umiera,
Może uda si, że powrócę zdrów
I zobaczę miasto Lwów...*

Obywatel Komendant był nieobecny, gdyż wyjechał służbowo.

Szef sztabu ob. Sosnkowski wyszedł do lwowiaków wraz z całym sztabem, Mundek wystąpił z szeregu z przemową:

„Obywatelu Szefie! Przybyliśmy ucieszeni wiadomością, że nasz lwowski Lwów wzięty został od kacapów i oby wolny był tyż niedługo od babci Austrii. Pragniemy z całej duszy również, abyście Obywatelu Szefie w najkrótszym czasie obok drogiego nam Komendanta, wkrótce wjechać mogli

do wolnej już Warszawy, czego życzę ja i wszystkim ze mną batiary“...

W tem miejscu dostał kuksa w bok od sąsiada i zaniemówił.

Uśmieł się ob. Szef i oficerowie z tych Józków. Szef polecił stawić się orkiestrze, z którą następnie oraz całą wiarą, udał się do okopów.

Tarcza księżyca wysoko płynęła już po niebie, a muzyka grała w okopach, jak na weselu.

»W YWRACANE UŁANY«

Piechota odpoczywa w przydrożnym rowie.
W międzyczasie przejeżdżają szwadrony Beliny.

Mundury na nich „ef-ef“ — galancie wykrojone, czaka rogate, rabaty, sznury, pętle, pętliczki, kokardy, guziczki, amaranty, szabelki, karabinki i dźwięczne ostrogi.

Piechota zaraz ich wita:

*Chłopy woły gnały,
Ułanów pytały
Gdzieżeście druciarze,
Sznurów nabrały?...*

Tu ob. Dulik, krakowski gołębiarz, krzyknął fachowo:

— Te, ułan wywracany, zdym to ciako, bo słońca nie widać!...

Tam dalej znowu wołają:

— Nabok z drogi, bo jedzie lepsze wojsko do zacieśniania stosunków z tubylczą ludnością. Więcej oni nie potrafią, żeby chcieli, chyba że se przyprawią porcelanowe ucha do czaków.

Z różnych stron sypią się docinki, słowem suchej nitki na ułanach niema.

Jednego z ułanów rozgniewały „bomberackie“ drwiny. Wyjeżdża z szeregu i woła:

— Obywatele! Kto chce papierosa? — Tu wyciąga z papierośnicy cienkie,¹ niby, że chce rozdawać. Zaraz podleciało kilku piechociarzy pod kobyłę ułana, a ułan ściągnął lejce i jednocześnie dał ostrogę kobyle, aż stęknęła i popuściła sobie.

— Ano zasługujcie się teraz psiajuchy, zamurdzane bomberaki! — wrzasnął ułan, schował papierosy i zwiął.

Piechota z ułanami żyje jednak w zgodzie, a że sobie przygadują — mój Boże, nie byłoby piechoty — nie byłoby ułanów.

¹ Cienkie — papierosy t. zw. „dramki“.

ZAGAJOWE WYWCZASY

— Beliniacy nad Nidą! — każdy myśli, że to prawda — powiada piechociarz nad piechociarze ob. Wróblewski — siedzą sobie aż w Zagaju, bliżej Jędrzejowa, jak... Nidy, furt się organizują i nucą sobie całymi dniami:

*Siedzimy tu w Zagaju rzędem na błocie,
Odbieramy fasunki w chlebie i złocie.
Niema jak te konserwy! Strasznej dodają werwy,
Ułany, choć wzbroniono (plują?)... czerwono.*

*Stosunki, stosuneczki i porządeczki,
Palą sobie nawzajem łojowe świeczki,
Każdy jest kapitalny,
O mało nie genjalny,
I powiada, że to „On“
A nie Napoleon.*

Żołnierz jest „obywatel“ i przygód szuka,
Lepiej niż do Moskala, do dziewczek puka,
I tylko z wielkiej łaski
Pucuje gwer i paski,
Czasem zaś, jak wypadnie
Coś „doloży“, snadnie.

Wierne to jest odbicie dawnych ułanów!
Co bronili przed laty ojcowskich łanów,
Dzisiaj trochę inaczej,
Lecz to każdy przebaczy,
Nie można żądać wiela,
Od „obywatela“.

A Belina we dworze, siedzi jakby sam król,
Gdy się z nim chcesz dogadać, lepiej gębę stul.
Jeden Serwich odgadnie,
Co w rotmistrzu jest na dnie,
Serwich prawdziwie wierny —
Ten „Druh pancerny“.

*Och, spojrzysz, rotmistrzu, na te porządki,
Zapuć oko przez (gębę) w puste żołądki,
Zwiedź choć raz puste żłoby,
Pełne owsa jakoby,
A może się w twojej duszy
Sumienie ruszy.*

Usłyszał piosenkę ob. Szef sztabu, poszedł do Komendanta i — wyjednał dla beliniaków służbę w okopach.

Masz ci babo interes — skończyły się zagajowe wywczasy.

Spieszyli połowę ułanów i posłali do okopów.

Kunigas, Kotlarewicz i Gliński zaraz wleźli do „Zuzanny“, tak z przyzwyczajenia, tym razem jednak do ziemianki, nazwanej tak przez „jańców“.¹

¹ Austriacy.

A N A R C H I S T A

Okaemy 1 pułku piechoty w rezerwie w lasku Kozinieckim odpoczywają na mchu. Maszynki i siodła pościągane z koni juczych, wszystko luzem chodzi.

Obywatele Obidniak, Szpara, Smyczyński i Zawadzki rozścielają koc, by zagrać w karciecia. Oczywiście — ferbel. Między grającymi zachodzi różnica zdań, czy grać z szandlą, czy bez.

— Wprawdzie szandla do wszystkiego pasuje, ale ja tam wolę tu w lesie bez „damów“, odezwał się ob. Szpara, największy finansista pułkowy, rozporządzający żołdem dwóch bataljonów, który lekko wygrał w czasie marszu. Liczą się wszyscy z ob. Szparą i grają bez szandli.

— Jedna za koronę, druga za dwie! Pas! — Dla mnie warta jest osiem! Dziesięć, blind! Centa

lepiej! Może lauf? Tyż interes, chwal się! Oko! Moje starsze na forancie! — i waluta poszła do Smyczyńskiego.

— Majzel stoi za pięć! — Licytacja. — Szpic? — Dobra! A trzydzieści? Jo! A Michałek? Meldować się odrazu, bo skóra cierpnie. — I forsa poszła do ob. Zawadzkiego.

Dla osłony naszego oddziału, przybyła sekcja piechoty z rozkazu komendanta pułku ob. Śmigłego. Dziwimy się, co to ma znaczyć. Wprawdzie dochodzi nas strzelanina, gdyż bój wre przed nami i na lewym skrzydle, ale to normalne. Tylko na prawo od nas ucichło już od pół godziny.

Ktoś zauważył:

— Czy nasi nie posunęli się naprzód?

Wtem wybuchła sprzeczka.

Obywatel Smyczyński w końcowej licytacji mając w kartach „szpica“ powiedział dla bezpieczeństwa niżej, „Michałek“ — zaś obywatel Obidniak miał trzydzieści i nie czekając zgarnął pienią-

dze. Tymczasem Smyczyński wyświeca „szpica“. Wywiązuje się kłótnia, wszyscy podchodzą do grających i rozstrzygają jednogłośnie, że karta mówi, nie gęba. Moneta ciężko wraca do Smyczyńskiego.

W lesie między pagórkami niespodzianie zauważył ob. Winiarski podchodzących Moskali.

— Ee... co tam gadacie — jańcie na pewno idą — wtrącił ob. Obidniak i karty rozdaje. Tymczasem po małej chwili Moskale: — Uraaa... uraaa — na kilkadziesiąt kroków przed oddziałem.

Wszyscy porwali się na równe i krzywe nogi juczne konie siodłać, tylko kasztanek juk od maszynki, zwany Anarchistą, przewraca się zadem do ziemi i pedałami fika, że trudno dostąpić, to znów wstaje i rwie się do Moskali, ledwie go utrzymać można, tak mu dziegiem zapachniało.

— Uraaa... uraaa, sokołyki zdajtesia!!! — wyraźnie słysząc słowa Moskali.

Huk szrapneli zapełnia las, obsługa wyciąga „sztajery“¹ i wraz z sekcją piechoty osłania maszyny.

Okazuje się, że dwa bataljony c. i k. praskiego infanterie regimentu, z wyłogami à la jajecznicą, przeszły do Moskali, zostawiając na naszym prawem skrzydle lukę, przez którą kacapy uderzyły na tyły.

Trzeba widzieć jak żelazo-beton piechota legjonowa idzie wykurzać i prostować linje!

Tymczasem z Anarchistą wytrzymać nie można. Rogaty moskiewski djabeł wszędzie i na każdym kroku okazuje nieposłuszeństwo i prze do Moskali.

— Do „feldgerichtu“² oddać go — powiada ob. Horodyski — ale zamiast do „feldgerichtu“ przydzielono go ob. kapelanowi pułkowemu, na „starszego wierzchowego“.

¹ Sztajer — automatyczny rewolwer.

² Feldgericht — sąd polowy.

Chłopcy karabiniarze ilekroć spotkali swego kochanego kapelana na grzbiecie Anarchisty, tyle razy ostrzegali go, by baczną zwracał uwagę na tego moskalofila, bo zwieje do Moskali.

— Jeszcze was obywatelu Kapelanie zanieś w prezencie — ostrzega Obidniak.

— Ale co wy tam zrzędzicie ob. Obidniak, powiada kapelan. — Porządny z niego rumak; sam doglądam, z ręki je, a cukier z kieszeni ciągnie.

— On was buja ob. Kapelanie! Jak pragnę na tem miejscu dostać wyświęconego cienkiego! On zwieje, znamy tego juchę, znamy!!

Przeszedł cały roczek. Anarchista przeniósł na swym grzbiecie kapelana od Konar do Styru i zdawało się, że z legunami zawarł sitwę na mur.

Lipiec 1916 roku. Odwrót z nad Styru nad Stochód.

Słońce świeci wysoko. Brygada po ciężkich i krwawych bojach smali przez Perekrestje do Trojanówki.

Anarchista cierpliwie niesie słodki ciężar — kapelana, ale snąć ma chytre zamiary, jest bardziej niespokojny, chrapy rozszerza, duma i ciężko wzdycha, a od czasu do czasu odwraca głowę w kierunku nadciągających Moskali.

W pewnym momencie, tuż pod Trojanówką, Anarchista zrzucił kapelana na ziemię, ale kapelanio trzyma lejce, nie puszcza.

Rozpoczęła się walka o wolność i posiadanie. Ob. kapelan podrzucany przez Anarchistę, tańczy wokół, kręci się i ciska. Wreszcie pękły wodze. Anarchista poczuwszy się wolnym, łeb uniósł w górę, ogonem wywinął, zakręcił z kopyta i zwiął w kierunku Moskali.

Na drugi dzień kapelan smętny staje do raportu, do komendanta pułku ob. Śmigłego:

— Obywatelu Pułkowniku, melduję posłusznie, że przydzielony mi służbowy koń, kasztanek Anarchista, wraz z siodłem i uprzężą zdezerterował do Moskali.

— Hm... Drogi Kapelanie, od dziś zabraniam ob. Kapelanowi osłaniać odwrót mego pułku.

Racja. Każdy w brygadzie musi przyznać przecie, że kapelanów nie można zostawiać na forpocz-
tach i wedecie...

DWA SŁÓWKA O OB. DOKTORZE SŁAWOJU

W sierpniu 1915 roku, kiedy brygada maszerowała ku Brześciowi i przystanęła na chwilowy odpoczynek, wszyscy naraz zapragnęli wody.

Jednakże do „tubylczych“ studni trudno się było dostać.

— Boże zachowaj! Kanary, nie kanary, łapi-
duchów pełno, trza innej rady szukać — powie-
dział ob. Drzazga i poszedł do pobliskiej bajury
sączyć wodę niebardzo jeszcze zieloną, ale upstrzo-
ną łebkami żab. Byłby może wysuszył całe bagien-
ko, gdyby nie groźny rozkaz ob. Sławoja.

Spragniony Drzazga posłusznie wstaje i melduje:

— Ob. Doktorze, z grochówką i gulaszem
chodzę już od trzech dni, a za przeproszeniem w gę-
bie nie miałem źdźbła wody! Umieram, umieram
w kwiecie swoich lat!

— Do szeregu marsz!

Nie było innej rady. Śmiertelnie spragniony wody sitwes Drzazga z trzydniową grochówką, wziął nogi za pas i powraca do szeregu, a ob. doktor, jakby się tłumacząc gromadzie z wyrządzonej sitwesowi krzywdy, rzucił za nim:

— Ja trzy dni nie jadłem i nie piłem, a żyję!

— Ale w cywilu ob. Doktorze! — krzyknął z tłoku Zięba — największy oferma drugokompagnijny.

Raz znowu w Karasinie jedzie ob. dr. Sławoj bryczuszką sanitarną, zaprzężoną w dwie zgrabne, małe kobyłki. Sam powozi.

Przejeżdża właśnie drogą, obok której stoją sobie sitwesy z VI bataljonu. Leguny doktorowi przejechać nie dadzą, by z nim paru słów nie zamienić. Wszyscy go znają dobrze i bardzo lubią.

Otóż gdy tak ob. doktor jedzie owemi kobyłkami stępa, zaraz sitwa Przeor przygadał:

— Ho... ho — patrzcie parafjany, jakie rozkoszne i różowe tyłki mają doktorskie kobyłki...

Ob. Sławoj nie był w humorze, pomyślał sobie jednak, że trzeba tym huncwotom odpowiedzieć, ażby im oko zbielało i jazda: — A możebyście sobie tak na zmianę... jak się wam tak podobają?!

— E...e... ktoby się tam mógł dobić przed oficerami... — odciął się sitwa Przeor, co słynął jako kawał drania.

Bryczuszka potoczyła się dalej, jako że była na kołach.

PR ZYGODA BOMBERAKÓW

Zaplątali się Rudy III i Borsuk, dwa zasmolone, biedne bomberaki, wysłane z kompanji dla nawiązania łączności.

Po drożynie, którą człapali, natknęli się na patrol dragoński, a ominąwszy go cudem, zaszyli się w krzakach zagajnika. Szukając następnie wyjścia, omal nie zderzyli się z oddziałem piechoty rosyjskiej, który prawieże deptał po wykrzywionych nogach Borsuka. Rudy III, ujrawszy niebezpieczeństwo oniemiał; szarpnął Borsuka za rękę i skoczyli za krzak.

I tak zostały odcięte od ludzi i świata dwa biedne, zasmolone bomberaki. Po dłuższej chwili milczenia, pierwszy szczerknął ob. Borsuk:

— Tfu... gorąco, pies by się tu wyznał w tej wojnie wołyńskiej. Jak noszę miano patrona Bor-

suka, tak pragnąłbym być w tej chwili w jego skórze. Miała tu być kompanja druga, tymczasem Mochy sobie spacerują w te i wewte stronę.

— A mówiłem żeby iść hań tamtą drogą na rozstaje, kaj krzyż stojał. Róbze teraz ofensywę Borsuce, jo ta zywcem nie dom się wzionć, żeby mie jasny pieron trzas, — rzekł Rudy III i zaczął oglądać karabin i liczyć naboje.

— Kryj pazury — odpowiedział ob. Borsuk, ściskając grabę Rudemu.

— W plecaku i ładownicach mam 160 śliwek, to se w najgorszym razie wystrzelam 159, a jedna na takiego fesiaka jak ja, to wystarczy.

Zdala zaczęły dochodzić pojedyncze strzały, przechodzące w coraz wyraźniejszą strzelaninę. To patrole rosyjskie związały się z wysuniętą kompanją.

Zdrętwieli. Opodał przejechało konno dwóch dragonów rosyjskich, ale widać było wyraźnie, że wieją.

Ob. Borsuk, stary znawca nastrojów wojennych, szepnął do ucha ob. Rudemu:

— Bądź blat — zdaje się, że mochy wpadły do lejka i nagwałt się wycofują.

Rudy III nie zrozumiał, czy nie dosłyszał i głośno powtarza:

— Do jakiego lejka?

— Zamknij jadaczkę! — psia ci robota była. Co się drzesz jak stare prześcieradło, co na nim nigdy nie leżałeś. To sy jeszcze wstań i zapal papierosa — to już będzie całkiem sicher, że nas nie wyfasują, — rzecze Borsuk i zaczął odchyłać gałęzie, żeby móc lepiej obserwować teren.

Zaszyte w krzakach dwa szaraki bomberackie nie mogły wyściubić nosa, oczekując nocy, jak zbawienia.

Ściemniło się. Borsuk prowadzi, bo Rudy III ma kurzą ślepotę i nic nie widzi. Posuwają się na palcach — w rękach karabiny najeżone bagnetami i odszperklapowane.

Bagna i woda nie stanowią przeszkody. Kluczyły więc przez całą noc, po jarach i wertepach dwa biedne żołnierzyki legjonowe, zziębnięte, głodne i mokre jak kury, a do tego odcięte od familiji!

Już dobrze słońce świeciło, jak znaleźli pojedynczy chutor wśród bagien, ale zewszec stron zamknięty.

Borsuk wsadził rękę w otwór drzwi chaty, pokręcił raz i drugi czarodziejski mechanizm i drzwi się otworzyły. Weszli do izby. Nikogo niema, jakiś nieład, porozstawiane ławki. Obejrzel i kuchnię i co za szczęśliwy traf! Znaleźli w żeleźniaku gotowane, obierane kartoszki, co rzadko zdarza się w tych stronach.

Ob. Rudy wyciągnął żelazną porcję, „haché“¹ rozpalil na kuchni i zagrzal kartoszki z konserwą.

Wsuwają zasłużony obiad i kiedy prawie skończyli konsumować, wchodzi baba starucha. Pozdrowia naszych rozbitków i mówi, że „wernuła sia

¹ Haché — konserwa mięsna siekana.

z kładbiszczą“.¹ Widząc, że Polaki jedzą kartoszki, krzyknęła z przerażenia.

— Ne kuszajte panoczki kartoszek! Ony były, jako likarstwo na moim starym, któryj wmer, win imieł po sobi czyraki!

Ob. Rudy III spojrział na babę zwinął nóż-łyżkę i widelec skautowski, który mu się po portkach zawsze dyndał i menażką trzepnął o ziemię, Borsuk nie zwraca na to uwagi, co baba świergoli i dalej wcina, tylko zaklął w stronę Rudego:

— Bodaj ci nagła krew załała, ta co chcesz, — świrka dostałeś!?

— — — — —

Widzieliśmy ich, jak wracali do kompanji. Ob. Rudy opierał się na Borsuku, miał czkawkę. Ob. Borsuk ledwie nogi ciągnął za sobą, miał drgawkę i czkawkę. Zdaleka już było ich słyhać.

¹ Kładbiszczce — cmentarz.

LEGUNY W BUDAPESZCIE

Leguny w Budapeszcie na Andrassy leżą poharatane na sita i kotlety. Wiecznych łazików w rabatach, chorych na bronchit także sporo było, ale nie w tem rzecz.

Była sala, łóżka, ober i unter deki, poduszki, biała kawa, wino, gulasz narodowy, — a szługów zawsze mało, gdyż okrojony lenung¹ szpitalny wystarczał zaledwie na drobne wydatki. Słowem mortus na cały regulator.

Ale Pan Bóg stworzył na szczęście leguńskie Ewę, a jej córki należały na wszystkich terenach europejskiej wojny do rozmaitych Lig Bab, stąd też gwarą leguńską, zwano je ligawkami.

Te, o których będzie mowa, były to węgierskie arystokratki, odwiedzające szpitale w towarzystwie

¹ Lenung — żołąd.

lokajów, obładowanych koszami papierosów, czekolad i rozmaitych pieścidełek. Właśnie delegatki te, w otoczeniu komendanta szpitala obersta,¹ fli-geladjudantów szpitalnych i innych udekorowa-nych oficersbambetlarzy² dekowników, zaczęły ob-chodzić łóżka, których w sali mieściło się koło setki. Zbliżając się do każdego chorego, pytały jakiej jest narodowości:

— Madjar?

— Nein, ich bin Weaner — odpowiada dajcz-majster djalektem wiedeńskim. Dostał dwa dramki.

I dalej Madjar?

— My sem tadi z Czechy — wskazując na obok leżącego kamrata, odparł żołnierz narodowo-ści czeskiej. Dostali po 2 dramki.

— Madjar?

— Igen,³ — dostał całą setkę i pieścidełko.

¹ Pułkownik.

² Liczypiernat.

³ Igen — tak.

— Madjar?

— Rumuneszti — 2 dramki.

— Madjar?

— Ta de, ja z Hałyczyny z pid Horodenki.

Wasyłko Hnatko infanterist z sim sim regimentu—
2 dramki.

— Madjar?

— Igen.— Znów całasetka dramków i pięścidełko.

Leguny pobladyły na widok setki dramek, chowanych przez żołnierzy narodowości węgierskiej i już sitwa nagwałt radzi. Konsyljum leguńskie na takie siuchty ligawic postanowiło jednogłównie pozmazywać kopfcetle (które nad każdym chorym wiszą w formie tabliczki czarnej z wypisanemi kre-dą personaljami i terminem wylegiwania się w szpitalu) i dawaj nieznacznie zmieniać: Stanisławy, Józefy, Karole, Wiesławy, Mieczysławy i tak dalej, na węgierskie: Isztwany, Lajosze, Matjasy i Szandory z nazwami miast i znanych legunom przedmiotów.

Warszawianin Cykała z V baonu, napisał sobie na kopfcetlu po węgiersku nieprzystojne słowa, często spotykane na murach i parkanach budapesztańskich.

Towarzystwo już się zbliżało, więc leguny w porządeczku uformowały się w łózkach pod dekami, wyczekując cierpliwie swojej kolejki.

Niektórzy, szczególnie królewiaczy, nie znając nawet kilku słów węgierskich, w obawie wsypy popodwiązywali sobie gęby bandażami, żeby na pytanie „Madjar“? nie odpowiadać, a tylko kiwać głową.

Już dochodzą. Na pierwszy ogień idzie skrzydłowa sitwa Telaga. Na zapytanie „Madjar“? — odpowiedział „Igen“ i dostał całą setkę i pieścidełko. Drugi sitwa Skrzeplon też Madjar, trzeci, piąty, dziesiąty to wszystko Madjary. Każdy schował setkę i jedno pieścidełko.

Poszło jak z płatka; tylko przy pierwszym, kiblarz-feldfelbel dienstfirender chciał protesto-

wać, ale siostra Ilonka, która sitwę z legunami trzymała, uratowała sytuację.

Po odejściu ligawek, taką rozmowę prowadzą dwaj żołnierze austriacy — Rusini z Galicji:

— A naj to szlach trafił tych Jachlonów! Baczysz Iwane wsi Jahlony kazały szczo Madjary i koždyj distał setku dramków, taki ony filozofy!...

Ale że to leguńskie serca czułe jak pucpomada, zwołano „vergaterung“¹ pokrzywdzonych narodowości i już ze swej kieszeni rozdawać poczęli sitwesy nadliczbowe dramki.

Dobre były węgierskie ligawki, nie takie jak nasze, u których tylko ułany miały głos.

Stąd źródło pochodzenia na hinterlandzie, przy rozmaitych Enkaenach, Biurach Werbunkowych i Zammelsztelach, całych falang łazików w rabatach z pendzlami i niezmiernie dźwięczącymi ostrogami, wzbudzającymi wieniawkowy zachwyty ligawek.

¹ Vergaterung — zbiórka.

OB. WIEŻYK NA URLOPIE

Ob. Wieżyk dostał urlop. Za 21 miesięcy ciężkiej służby, 21 dni urlopu. Ha, — trudno! Na wojnę nie przysyłali zaproszenia, na urlop nie wypędzają.

Ale jak tu jechać, kiedy portek właściwie niema, buciaki wykrzywione, bluza połatana, niedarmo poeci pułkowi powiadają:

*Chociaż są szczęśliwi strzelcy zuchowaci,
Wždy ci często miast portek używają gaci.*

Sitwa umrzeć nie da i wstydu pułkowi nie przyniesie. Dziedzina już zdejmuje porcięta, Głownia owijacze, Gadziąta z plecaka ciągnie zapasową bluzę, Jółka pas żółty, nielity, Wąchała bucięta komiśne i... Wieżyk gotowy. Staje do lekarza, a ten krzyczy:

— Zdejm bratku koszulę!

Wieżyk pomyślał sobie zaraz:

— Bliższa koszula ciała, niżli koniec wojny,— ale zdjął. Lekarz ogląda koszulę, czy przypadkowo wszy nie odeszły, ale Ob. Wieżyk był tego pewny, że są, bo zawsze zostawiał chociaż jedną parę na zarybek.

Już Wieżyk chce siadać na tabor, który jedzie po prowjant do Maniewicz, ale przypomniał sobie, że urlopnicy dostają „suchy frasunek“ na jeden dzień. Wali więc do sierżanta prowjantowego z marszrutą w zębach.

Dostaje suchary, porcję marmelady i 10 cienkich. Zaraz pomyślał sobie (wogóle Wieżyk ciągle myśli):

— Lepszy jeden cienki w garści, niżli sto w prowjanturze — i robi raban, dlaczego właściwie darować ma konserwę? Po długich wymyślniach dostał widocznie, bo wychodzi ze słowami:

— Bodaj ci ziemia rychło lekką była, Obywatele prowjantowy. — A potem uroczyście przed drzwiami splunął.

Maniewicze — stacja. Pociąg co wieczór odchodzi, albo nie.

Wieżyk w nocy siadł do pociągu. Rano patrzy przez okno i zobaczył pierwszego łytę cywila i niewiastę (zdaje się, że pannę). Połknął ślinkę. Ustać nie może, a wszystkie miejsca przez fajczących jańców zajęte.

Wtem wchodzą kanary, ale austriackie i zaczyna się przeglądanie dokumentów.

Wieżyk wpadł na pomysł, udaje, że szuka po wszystkich kieszeniach, przewraca koc gruby, który wiezie jako podarunek dla wuja, a dokumentów jak niema tak niema. Biorą Wieżyka i wsadzają do innego wagonu, wygodnego (ale pod zamknięciem).

O to właśnie idzie...

— Aby do Lwowa, aby do Lwowa, — mruczy sobie Wieżyk pod nosem.

Już na stacji Sichów robi rwetes nie do opisania. Klękajcie kanary — dokument się znalazł! Na Bahnhofkommando jakoś nie wierzyli, sprawdzali podpisy i pieczętkę szkiełkami — ale było rychtyg i puścili.

W domu na wstępie dowiedział się Wieżyk, że kochany wuj Anatol, emerytowany śledź pocztowy, tak się czule witał z Austriakami, jak odbili Lwów, że apopleksji dostał — czyli szlak go trafił i umarł w butach.

Wieżyk chodzi sobie po Lwowie, nikomu się nie kłania, zaraz wszyscy poznają, że jest z I brygady.

Spotyka na korsie szac Melańcię. Humor ma bajeczny, więc do niej przywała:

— Czy panna pozwoli si odprowadzić?

— Dziękuję, z wojskowymi mama zakazała.

— A z legunami?

Nie dostał odpowiedzi, ale szwendał się za nią dalej, stukając z fasonem o bruk podkówką, która mu się oddyndała na lewem kopycie, słowem afektem ćmił uroczyście.

Obywatela z I brygady, spławić nawet baba nie da rady! Więc poszli gdzieś za Żelazną Wodę.

Kiedy wracali Wieżyk myślał w duchu o tej kondziołce, co ją popsuli strzelcy Anielci i o tem, że Lolce, bo tak się dzierlatka wabiła, ci strzelcy pierwsi niż on kondziołkę popsuli.

Na drugi dzień Wieżyk w domu medytuje:

— Urlop się kończy — niewesoła sprawa, z wojny często jedzie się do szpitala, z urlopu też można trafić do... orkiestry!

— — — — —
Ha... ha... ha... sitwa list przysłała! Jest fajny, załączone dwa numery „Szrapnela“ i „Konferencji Pokojowej“.

Rozkłada ostatnią i czyta:

*Przeminął zimny ciąg,
I wiosny błyszczą skra,
Przemija wszystko w krąg,
A wojna trwa i trwa.*

*Przeminie po nas ślad,
Jak wszystko psia ich mać,
Przeminie życie, świat,
A wojna będzie trwać.*

W liście wiara takie porobiła dopiski:

„Wieźnućciu-ciućciu! nie zapomnij przywieźć hary i do tego kwargle — od Szmulka, najkławsze. A gite cześć! Jakóbek.“

„Czyś był u mojej starej? Czy dała geldziwo? Jeżeli dała, kup siana¹ ile można, za resztę Bongout² z literek, lub Baczelesa rosolis czerwony. Napij się browaru za swoje szóstki — za moje zdrowie. Bądź pozdrowion — Mundek.“

¹ Siano — tytoń.

² Bongout — spirytus.

Dopiero teraz Wieżyk zauważył, że pierwsza litera „K“ na początku listu (od Kochany), co sitwa pisała, była wykładana, jakby haftowana wszami. A bodajci! — ryknął Wieżyk i zaraz je zaczął rozpoznawać. Te pochodzą od maminsynka Szerszenia — wszystkie są „za wąskie w biodrach“. Ta beczka od Józka spuchlaka; te jasne, maleńkie, dziecinne jeszcze, od miglanca¹ Pnieji.

Ostatni dzień urlopu. Wieżyk wieczorem dopiero wyjeżdża. Sprawunki załatwił jak należy. Od rana się żegna, więc benzyną trochę trąca.

Mija właśnie róg Słowackiego i Sykstuskiej, idąc sobie bez nijakiego dalszego frasunku (szóstki dostał już na drogę), patrzy, gdzieby tu jeszcze wdepnąć na jeden bałabojdyk, aż tu słyszy za sobą:

— Legioner! Legioner! — Ogląda się, jakiś ci k. u. k. major z bindlowanym wąsem z trzema

¹ Miglanc — smarkacz.

Deckungskreuzami¹ i „Signum Landauem“² na wstędze ostrożności, herszteluje i sztemp³ na całej ulicy mu wyczynia, że nie salutuje. Doskakuje, brzuchem prawieże po nosie tyka Wieżyka.

Wieżyk jest flegmatyk, szczególnie gdy się napije, więc tak rzecze:

*Kto leguna nie szanuje,
Niech go w pocałuje.*

— Sechs Schritte marsch und salutieren!⁴ — wrzeszczy Herr Major z k. u. k. Kriegsgetreide u. Kartoffelzammelsteli.⁵

Wieżykowi jakoś się pomyliło, czy ma odejść na sześć kroków, czy na szesnaście. Robi wtył zwrot, uszedł dziesięć kroków i... wstąpił do Garfunkla na gelajzę piwa.

¹ Złośliwa nazwa odznaczeń niefrontowych.

² Signum Laudis — odznaczenie, zwane Landauem.

³ Sztemp — wstyd.

⁴ Sześć kroków marsz i zasalutować.

⁵ Major z magazynu zboża i kartofli.

KAMIŃSK. DOM REKONWALESCENTÓW.

W gabinecie doktora Koźniewskiego przez drewniane przepierzenie słyhać dobrze każdą rozmowę, prowadzoną w poczekalni.

Dwóch sprytnych łazików umiejętnie wykorzystano tę okoliczność. Mianowicie poczęli kłócić się głośno, twierdząc, że doktor nie ma takiej władzy, żeby mógł udzielić urlopu.

— Ni ma prawa dać urlopu doktor Koźniewski, bo jest za krótki — twierdził Drewniak.

— Ja zaś mówię, że tylko właśnie od niego zależy. Toż to przecie nie formacja linjowa, a Dom Uzdrawieńców, — obstawał Kroczek. Kłócili się zajadle i coraz głośniej.

Wtem doktor Koźniewski otworzył drzwi, wezwał kłócących się do gabinetu i zwrócił się do Drewniaka:

— Jak śmiesz mi tu pod nosem wygadywać, że nie mam prawa udzielać urlopu? Ażebyś się nauczył szanować lekarzy, dostaniesz dwa tygodnie urlopu, ty Drewniak! jeden!

Od tego czasu nikt nie wierzył w moc udzielania urlopu przez doktora porucznika Koźniewskiego, ale doktor nie dał się już nabrać drugi raz na kawał, a naśladowców odsyłał do paki.

— — — — —

Innym znowu razem, dochodzi z gabinetu lekarza następująca rozmowa:

— Jak się nazywacie?

— Feliks Del-Delski — brzmi odpowiedź.

— Na pewno herbu Stołowe Nogi? Od kiedy w Legionach?

— Od sierpnia 1914 roku.

— W jakim pułku?

— Właściwie to w pułku ja nie służyłem panie Doktorze, tylko zawsze w brygadzie. Naprzód wstąpiłem do strzelców, co ich teraz nazywają

I brygadą. Wyszedłem razu jednego wczesnym rankiem z Oleandrów na spacer, a jak wróciłem, to już tych strzelców widać nie było. Pognali jak porażeni, na złamanie karku. Nie tracąc jednak fantazji, powiedziałem sobie — Pierwsza poszła, wojna nieskończona, będzie i druga. Poczekiałem trochę i jak sobie obliczyłem, tak i do drugiej przystałem.

Chodziłem regularnie na ćwiczenia na wszystkie kopce krakowskie i wcale dobrze mi było w tej II brygadzie, aż tu 1. października zrobili alarm, zbiórkę i szykują się do wyjazdu. Zastanowiłem się poważnie. Z I w lecie nie poszedłem, a z II mam iść na zimę! Brrr!! Przecież nie zimorodek jestem. Poczekam chyba lepiej na III, co na wiosnę wyjdzie.

Chciałem ot tak wyspacerować się przed odjazdem po plantach, idę, ale w bramie, przy wyjściu, stał ci taki zamazany rekrut, zaraz się do mnie przyczepił, jak ogórek do lampy i zaprowadził do kompanijnego, że to niby tak bez przepustki.

Cały dzień do odjazdu pilnowali mnie jak oka w głowie. Nie było to jak w tej I brygadzie! Zupełnie inny porządek. Tam naprawdę traktowano człeka po obywatelsku. Chciałeś — szedłeś, nie chciałeś — to nie. A rekrutów wcale nie było. Ostatecznie wszyscy jadą, dlaczego i ja nie mam jechać, panie doktorze? Dali wszystko nowe od stóp do głów, nie jak w tej I brygadzie, co się sama ubrała i poszła w cienkich portkach, jak na majówkę.

Jedziemy załadowani w wagonach — śpimy całą noc. Rano odsunąłem drzwi wołowego wagonu, patrzę góry i lasy, lasy i góry. Co ja niedźwiedź brunatny jestem, pomyślałem sobie, albo jaki gazda z Podhala, żebym miał się wspinać po górach? Wysiadłem na stacji wody się napić. Jak wróciłem, już i transportu nie było. Nawet człek nie miał czasu pragnienia ugasić w tej II brygadzie. Pierwsza poszła sobie przynajmniej na piechotę, to rozumiem — na wszystko był czas. Ale

co tu na tej stacji robić? Złapałem się za brzuch, wije się, aż mi poczciwi Austriacy pomogli plecak wziąć i odwieźli do Szatmar Nemeti, do szpitala na kurację.

Tam sobie przeleżałem sześć tygodni, stamtąd odesłali do Piszczan, bo mi nogi popuchły od leżenia. Z Piszczan dostałem się do Kromieryża na Morawy i do Wiednia do komendy miasta. Tamem sobie na Alleegasse¹ przeczekał dwa miesiące na transport do Jabłonkowa na Śląsk i wreszcie po miesiącu przyjechałem do Krakowa. W Krakowie chodziłem do legjonowej herbaciarni, gdzie same ligawki obsługiwały. Wyrabiałem sobie zaliczki w towarzystwie adoracyjnym Enkaenu, słowem było mi dobrze, nie mogłem narzekać. Już wszystkie brygady o mnie zapomniały, namawiają mnie żebym stanął na superrewizję, ale sobie pomyślałem, że w czasie wojny w cywilu nie wypada. Aż tu ci jednego razu wychodzę na Rynek i spotykam

¹ Legjonowa komenda miasta mieściła się przy tej ulicy.

bojowych chłopaków, którzy jadą służbowo z frontu, jako delegaci do armji tureckiej. Żywcem mnie biorą na ślepą rotę, to znaczy, że marszruta opiewa na 1 komendanta, 1 adjutanta i 3 żołnierzy, razem na pięciu — ja szósty, to jeden lub dwóch musi zawsze znajdować się z tyłu wagonów, żeby kanary¹ nie mogły się dorachować. Namyslałem się, czy jechać, ale właściwie w Turcji jeszcze nie byłem, warto więc świat zwiedzić i — pojechałem. Jedziemy jedną noc, cały dzień, już dwie kontrole żandarmskie przeszły, nikt nawet palcem nie kiwnął. Na każdej większej stacji znosiły chłopaki prowiant, rum, otrzymując wszystko po przedstawieniu marszruty. Na drugą noc wchodzą do przedziału żołnierze z wachmajstrem na czele. Na rękawach mają żółte przepaski z napisem: „Feldgendarm“!² Nogi mi zadrgały i chciałem wyjść za potrzebą do

¹ Złośliwa nazwa żandarmów legionowych.

² Austrjacka polowa żandarmerja.

abortu, ale psie syny żądają dokumentów. Skąd im teraz w nocy wezmę?

Delegaci przedstawili swoje papiery, z okrągłą pieczętką k. u. k. Łazikenkommando der Polnischen Legionen — przeczytali i zaszalutowali, a do mnie się przyczepili i zabrali ze sobą. Słowem wyjęli mnie jak pisklę z gniazdka. Ciągały mnie te Feldgendarmy po różnych dziurach trzy tygodnie, aż wreszcie odstawili do sądu polowego. Tam przesiedziałem całą zimę, a teraz, panie doktorze, odesłali mnie tu do Kamińska dla poratowania zdrowia.

Doktór słuchał z zaciekawieniem opowiadania Feliksa Del-Delskiego, a gdy skończył, zaczął go opukiwać. Badał oczy i otwierał powieki, jakby chciał przez nie zobaczyć płuca, coś sobie notował, wreszcie powiedział:

— Zdrowy jesteś jak byk! Hajda do pułku. Dość łazikowania!

— Żebym tak front oglądał, jak jestem zdrowy,

panie Doktorze — tłumaczył się Del-Delski, ale nie pomogło.

Z najbliższym transportem znalazł się Delski w pułku, który miesiąc temu z Baranowicz przyjechał. Melduje się w kompanji, przyrzeka się zrehabilitować.

Cały tydzień już źle ćwiczy, nie umie słuchać, jak ma mieć służbę, robi się chory. Inni za niego spełniają prace, kartofli obierać nie chce, bo manicures mu się popsuje, lub mundur poplami. Wciąż do lusterka zagląda, przedział czesze, z babami furt promenaduje.

Razu jednego, podczas ćwiczeń, zwraca się do sierżanta szefa i rezonuje:

— Przyszędłem na wojnę, a nie wybijać na tempo musztrę formalną — dosyć tego!

Zgłasza się na ochotnika na werbunek. Wieczorem przychodzi spóźniony do koszar.

*A po kompanji przebiegł szmer
I krzyknął ktoś wśród tłumu:
Werbunek oddaj!... oddaj gwer!...
Werbownik! dać mu rumu!!!*

I założyli dranie koc i lampa nagle zgasła...

Rankiem Del-Delski Feliks wyjechał na werbunek.

Sekcyjny Oskierka pochodzi z Płocka. W roku 1914, przebijając się przez kordon wojsk rosyjskich, wdepnął do I brygady i został obywatelem.

Oskierka znany jest z tego, że gdy przybył do brygady, odrazu zmienił ubranie cywilne, nazwisko i... kapelusz.

Otóż właśnie ten Oskierka otrzymał z bataljonu przepustkę do Legjonowa. Idzie odwiedzić swego przyjaciela z rodzinnych stron, który służy w II brygadzie i nazywa się Pasterski.

Przeszedł przez mostek na Garbachu i wszedł na drogę z okrągłaków; nie zauważył wcale jak pól bataljonu z oficerami odprowadza go w niemy zachwycie, podziwiając wypastowane i wyglansowane na lustro buciaki.

Mówili między sobą, że już na pewno wojna ma się ku końcowi, skoro sitwes sztajgery¹ glancuje.

Legjonowo. Uściskali się dwaj płocczanie co sił, opowiadając sobie swoje bitewne przeżycia, dopytując się wzajemnie o los swych rodzin.

Pasterski pełni służbę przy brygadowych telefonach, „bo jest długi i łatwo się rozpina“.

Weszli do ziemianki. Oskierka patrzy: mrożą się flaszeczki rumu, tylko korki wystają z wody, na stoliku suchary, konserwy, ser i papierosy.

Pasterski wyciąga onucki (nieużywane) i zaściela stół niby obrusem; nakrycie zastawia na trzech.

— A kto trzeci? — zapytuje Oskierka.

— Zaprosiłem juhasa Michołka Dycha z drugiego pułku zająców, lada chwila nadejdzie, zobaczysz jaki wesoły a honorny chłop.

Nie dowiesz się skąd pochodzi. Jednego dnia

¹ Sztajgery — buciki.

mówił mi, że wywodzi się od Cubryny, innym razem znów od Cornego Stawu.

Jak mu powiedziałem, że coś kręci z tą Cubryną, to mi odrzekł:

— To wom ino tele powiem, Wiślaku, haj! Tatrzyście widzieli w górach Tatrach haj? To się przypatrzcie!... — zabrał się i wyszedł oburzony.

Nareszcie Michołek przyszedł, wygolony chłopak, rzeński i twardy; przy obcym słowa nie rzeknie gwarą góralską, musi mieć zaufanie.

Buchnął ogień w piecyku, konserwy dogrzewają się w wodzie.

Gospodarz Pasterski wyciągnął rum; idzie kolejka za kolejką — kubkami piją, raczą się po królewsku.

Co sobie gadali, opowiadali, trudno opisać, coś się z ułanów naśmiewali, bo słychać było słowa piosenki:

*Jedzie sobie ułan na kulawej szkapie,
Chusteczka w kieszeni, a z nosa mu kapie...*

Języki im się trochę plątały, rozumieli się jednak bardzo dobrze.

Tylko Oskierce niepotrzebnie się wypsnęło, że w pierwszej jest taki zwyczaj — „jak gość w dom, to chowaj chleb“.

Po skończonym obiedzie, relutony zapraszają sitwesa do kina. Wychodzą z ziemianki, zwyczajem pierwszej, gość przodem. Obywatel Oskierka nie może trafić na schodek, ciągnie go do tyłu, Michałka zaś do przodu; jakoś jednak wyszli.

Michałek jest w humorze, z nosa mu się kurzy, więc śpiewa:

*Ej zahucały góry, ej zahucały lasy,
Ej ka się nom podziały, starodowne casy?*

Pasterski z Michałkiem oprowadzają Oskierkę, pokazując mu osobliwości Legjonowa.

Tu komenda, tam kasyno oficerskie, dokoła trawniki, klomby, aleje, prawie park.

— Wieczorem jest tu bardzo przyjemnie —

mówi Pasterski, — jak oficerowie wychodzą z kasy
syna spacerują sobie, a...leją.

Dochodzą do kina, na szopie szyld „Tu zabawa“.
Za pięć minut początek, a właściwie ciągle
jest początek, bo się film rwie. Tymczasem gromada
ryczy:

*Jest w Legjonowie kino cud,
aż z radości skacze lud...
W nazwaniu „Tu zabawa“
Początek jest i sława.
Reluton każdy obijbok
Ku budzie tej kieruje krok
Albowiem — jedząc źle
Chce rozweselić się...*

Już dobrze się ściemniło, jak ob. Oskierka wrócił
do kompanji i położył się spać.

— — — — —

Na drugi dzień ob. sekcyjny Oskierka miał kacenjamer.

R E D U T A

Pozwól strzelcom nad Nidę — oni pójdą nad Styr.

Jedna z najbardziej wysuniętych pozycji pod Kostiuchnowką, to reduta Komendanta Piłsudskiego.

Przez długi czas młode leguny, a starzy sitwesi, pracowali w pocie czoła nad umocnieniem reduty, noszącej miano Wodza.

Kopali, podsypywali, pełno przejść, przekopów, rowów dobiegowych, a wszystko razem naszpikowane żelastwem i odrutowane.

Czego tu niema! Opancerzone stalowemi tarczami strzelnice, miotacze min, rakiety, pistolety, reflektory, obserwatory, granaty ręczne: „hajse kikiryc“ i „ajergranaty“ — słowem leguńskie muzeum wojny.

Reduta wygląda jak zwinięty duży jeź, zaś wysunięta przed redutą placówka, jak taki sobie mały jeżyk, przywiązany do tego dużego odrutowanym rowem dobiegowym.

Naprzeciw rosyjska pozycja „Orle gniazdo“, wbita klinem w redutę.

Na placówce do sitwesa nie możesz inaczej gadać, jak obywatelu przez wielkie „O“, pocichu, bo ci zaraz przyleci prawosławne wiadro piroksyliny z miotacza min i ręce a nogi porozstawia po kątach, że szukaj potem! Może znajdziesz, ale co ci z tego?

Ob. Tomcio Rybicki otworzył zasuwkę od tarczy pancерnej, wetknął karabin i oddał strzał; nie zamyka, tylko wziął kawałek pręta, nałożył czapkę i powiewa nią koło otworu, niby że ktoś się szwęda. Zaraz Moskał odpowiedział celnym strzałem i czapka — dziurawa.

— Ma kacap nosa — powiedział Rybuś i zamknął otwór.

3 lipca 1916 roku 2 kompanja ob. porucznika Małego-Skwarczyńskiego leży pod namiotami koło kasyna oficerskiego, w rezerwie. Jedni pamiętnik piszą, drudzy karabiny czyszczą, ob. Łata spodnie łąta. W powietrzu czuć ruchawkę, ogłoszono pogotowie.

4 lipca. Wczesnym rankiem rozpoczyna się ogień artylerji rosyjskiej. Z reduty znoszą rannych.

Pluton drugi o godzinie 10.30 otrzymał rozkaz zajęcia pozycji na reducie, obok kompanji ob. porucznika Wira. Pluton prowadzi ob. ppor. Greffner z ob. sierż. Zagórowskim Pawełkiem.

— Jak wojna to wojna! Lepiej dostać w linii, jak oberwać w rezerwie — powiedział sentencjonalnie sekcyjny Szczerba, oglądając sekcję, czy jest w porządku.

Reduta. Łam, tam, tam, — bam, bam, bam, tata, pipipi...

Słońce zaczyna prażyć.

Reduta stoi w huraganowym ogniu dział rosyjskich.

Deszcz pocisków różnego kalibru zasypuje okopy, granaty ryją ziemię przed — i zapola. Szrapnele z klangiem pękają nad głowami. Belki wylatują w powietrze, kurzy się po wybuchach, jak z kominów fabrycznych. Usadowione na wzniesieniu rosyjskie karabiny maszynowe grzeją, że łąba wynurzyć nie można.

Fituu... fituu... fituu... tamham, bambam — bluznęła fontanna ziemi w powietrze.

— Szesnastka, nie w kij dmuchał, zapowiada się na lepszy gips — rzekł Cykuś i wyciągnąwszy ostatniusieńkie pół cienkiego, wsadził go do cygarniczki własnej roboty i zapalił.

— Cykała daj zajarzyć!

— Nie mam — mogliemy na sitwę.

— Dobra! — Cykała szluguje, Ambroziak nastawia usta i wciąga dym, trzyma długo, aż zjadł. A teraz na odwyrtkę.

Godzina jedenasta, pluton otrzymuje rozkaz zajęcia placówki na reducie.

Sanitarjusze wloką ciężko rannych, zabici leżą w okopach, po drodze pełno śladów krwi. Tu jakaś bluza, tam chlebak skrwawiony. Placówka strzaskana, tarcze ze strzelnic powyrywane, widać zniszczenie okropne. W rogu okopu leży rozdarty trup kolegi.

— Wody!... Wody!...

— Huł... Huł... Huł...

— Uwaga! Gania coś większego, kryj się! — krzyknął ktoś nagle. Ziemia zadrżała i zrobiło się ciemno.. To wpadł Iwane¹ w towarzystwie szczeniaków szrapneli i drobnicy granatów, a ciemny gejzer piachu wybuchnął majestatycznie w powietrze, zasypując ziemią placówkę. Niema czem odychać.

— Wody!!... Wody!!

¹ Tak zwą leguny pociski 28 cm

— Może sodowej, takiej z lodowni... co?

— To se napisz i przeczytaj.

— Dajcie wody, bo zwaruję!

A słońce praży — nigdzie cienia.

— Patrzcie! patrzcie! podchodzą Moskale!

Wokół ogień karabinowy potężnieje, jak bulgotanie wrzącej wody, a jednocześnie wzmagają się ognie artyleryjskie.

Potrójnymi liniami idzie atak piechoty kacapskiej. Artylerja rosyjska rozpoczyna ogień zaporowy, według metod frontu zachodniego. Rozmowy nie słyhać, ppor. Greffner rozkazuje na migi. W tej chwili wpadł granat w sam środek placówki i rozdzielił ją na dwie części. Kosa zmiotła kilka istnień leguńskich. Rowem dobiegowym przyleciał łącznik od kompanijnego z rozkazem oraz zapytaniem, jak się czuje placówka.

— Poczekajcie jeszcze parę minut, to się dowiecie obywatelu! Nie będziecie potrzebowali wracać.

Znowu fontanna ziemi zasypuje okop. Wtem ob. Janek rozpina pośpiesznie kołnierz, już nie wytrzyma...

— Łii... łiiii — krzyknął spazmatycznym głosem — zbladł i zsunął się na ziemię. Dreszcz przeszedł obecnych, gdyż taki głos słyszy się tylko w szpitalu dla obłąkanych. Podbiegł ob. Sadowski prostuje ciało, ogląda czy przypadkowo nie ranny, rozpina pas, bluzę, owijacze. Ale nie, cały, więc masuje serce.

Wody — wody, ale skąd? Coś sobie przypomniał, zdejmuje tornister, wyciąga jakiś przedmiot, wsadza do chusteczki i tłucze bagnetem.

— Hura! Hura! — słysząc na lewem skrzydle.

Ob. Sadowski otwiera siłą usta Janka i wysypuje biały proszek, a potem znowu naciera serce.

Ogień artyleryjski rozszalał na całą parę. Moskale przypuszczają atak za atakiem na piąty pułk i pierwszą kompanję piątego baonu. Udaje im się

podpalić chrust; dym zewszechstron otacza redutę.

Tymczasem ob. Janek wraca do przytomności. Dowiaduje się, że został ocucony... ałunem do golenia.

— A bodajże cię z taką cytryną! Żołądek widać mam nieczuły. Mógłbym występować w cyrku za połykacza kul, co tak bzykają w powietrzu, zarzewiałych gwoździ i tłuczonego szkła.

Krwawemi promieniami idzie zgroza, pociski jedne drugie doganiają, zlewają się w jedną całość. Zda się piekło na ziemi. Wargi spieczone, twarze ogorzałe, czarne i lepkie od pyłu i potu.

Wtem ktoś krzyknął:

— Komendant Piłsudski w okopach!

— Gdzie? Od strzelnic odstępują i szukają wzrokiem Komendanta.

Wódz stoi w pobliżu w towarzystwie komendanta reduty ob. kapitana Olszyny.

Jakaś wielka otucha wstąpiła w serca wszystkich, ale zaraz potem i trwoga.

— Obywatelu Poruczniku, poco obywatel Komendant tu przyszedł, poco naraża się? — popywały się gorączkowe pytania.

— Wyprowadzimy Komendanta!

— Spokojnie sitwesy, Komendant też legun i do leguńskiej sitwy należy — odpowiedział ob. ppor. Greffner.

Prawda, też legun... I to wszystkich przekonało.

— Niech żyje Komendant!! Niech żyje!!

UMCS
LUBLIN

SPIS RZECZY

	Str.
Słowo wstępne	5
Narodziny sitwy	7
Lwowska kompanja	18
Maminsynek	21
Jubilerzy	26
Sławne twarze	31
Wywracane ułany	36
Zagajowe wywczasy	38
Anarchista	41
Dwa słówka o ob. doktorze Sławoju	48
Przygoda bomberaków	51
Leguny w Budapeszcie	56
Ob. Wieżyk na urlopie	61
Łaziki	69
Biba	78
Reduta	83

A Nr 004001



C e n a

zł 15 gr

DK - 28 d
1.54

Wzór jednoraz. CWD, W-wa. 15973/K
2041 - Łak - 25.11.53 - 3000 bl. à 100 k.

A 24037

ALBUM LEGJONÓW POLSKICH

POD PROTEKTORATEM SZEFA WOJSKOWEGO BIURA
HISTORYCZNEGO

GEN. J. STACHIEWICZA

OPRACOWALI

MJR. DR. WACŁAW LIPIŃSKI (Tekst)

MJR. DYPL. EUGENJUSZ QUIRINI (Mat. fotogr.)

Album ten zawiera około 100 stron tekstu, 200 stron pierwszorzędnych ilustracji oraz 8 plansz barwnych i szereg rysunków J. Swirysz-Ryszkiewicza i A. Nałęcz-Korzeniowskiego, wykonanych wkłęsłodrukiem. Jest to więc jakgdyby ilustrowana historia Legjonów, poczynając od 1914 roku do aktu 5 listopada. Z kart jej z całą wyrazistością przemawiają ówczesne wypadki. Dla uczestników będzie to pamiątka drogich chwil, spędzonych w szeregach, dla innych zaś piękny obraz żołnierskiego czynu Legjonów.

Cena 100 Zł.

DO NABYCIA

W GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ
WARSZAWA. NOWY ŚWIAT 69.





Biblioteka Uniwersytetu
MARI CURIE SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 24037

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000174464